

STYCZNIOWE WYCIECZKI DO KULTURY

385

Styczeń w Warszawie niezależnie od tradycyjnych już rocznic, tradycyjnego wręczania nagród laureatom Warszawy, inauguracji „Roków” z Jubileuszowym Rokiem Filharmonii Narodowej (pod dyktando Eugeniusza Libery i kierownika artystycznego Witolda Rowickiego) na czele, obfitował i w narodziny; m. in. „Teatru na Woli”, prapremier operetkowych i operowych. Operetka ta „w 3 aktach w czystawej formie”, jest ciekawą swą historią, jako że autor S. I. Witkiewicz-Witkacy, ów szkic libretta zostawił ongi u matki p. Juliusza Żuławskiego, ona użyczyła ów szkic dla muzycznego opracowania — Marcelemu Popławskiemu, który, jak pisze Żuławski „aż do śmierci w roku 1947 nad tym librettem pracował. Kajet w twardej zielonej okładce utonął gdzieś u nas w szufladzie biurka a potem wraz z innymi dokumentami przetrwał cudem warszawskie pożary”. I oto Ateneum wystawiło teraz ową dość błahą, lecz zabawną „Pannę Tutli-Putli” z muzyką Stanisława Radwana, w reżyserii Janusza Warmińskiego, w pełnej fantazji i wdzięku scenografii państwa Skarżyńskich, z gościnnie występującą kapitalną Anną Seniuk w roli apetycznej i aerodynamicznej królowej wyspy Tua-Tua. Gościom — pierwszeństwo, więc zapewne stali aktorzy Teatru Ateneum wybaczą mi ich niewyliczenie, tym bardziej, że w finałowej piosence śpiewają: „Nigdy nie będziem na siebie się dąsać”. A jeśli z kolei mowa o polskiej prapremierze operowej — to o „La finta giardiniera”, czyli o „Mnie-manej ogrodniczce” — dziele niespełna 20-letniego W. A. Mozarta. Ujrzelśmy tę operę i usłyszeli w raczącej nas zawsze smakowitymi ucztami dla ucha i oka Warszawskiej Operze Kameralnej. „Dla ucha” — dodatkowo pięknie brzmiały nie tylko głosy artystów,

ale i nowy, dowcipny, lekki jak wszystko co wychodzi spod pióra J. Kulmowej — tekst. Razem z wyżej wymienioną operą cieszymy się z udanego spektaklu oraz i z tego, że z nowym rokiem przestała być bezdomną sierotką, znajdując przytulisko w sali Teatru Dramatycznego w każdy (wolny) poniedziałek. Pod znakiem Mozarta był ten styczeń, bo i w Teatrze Wielkim: jego opera „Don Giovanni” i do tego jeszcze pięknie śpiewana we włoskim języku. To tak widać zadziwiło konia, że z tego zapewne powodu zrobił „niespodziankę” na scenie, wzbudzając tym niezwykłą wesołość i brawa. Wesołości natomiast, ani dreszczyku, choć prowokował do tego tytuł z kryminału rodem: „Prawdziwy inspektor Dog” nie wywołała nowa premiera w „Kwadracie”; wierzymy na słowo, że na scenie Teatru Aldwych sztuka ma ogromne powodzenie. Merci, to ja wolę już „Merci, czyli wodewil z myszką” — Bułata Okudźawy w Rozmaitościach, choć też dałoby się to i owo wytknąć. Przed laty oglądaliśmy „Wodewil warszawski”, możemy więc tym razem brać udział i w innym. A „warszawski” — ten przymiotnik miało w tytule wiele styczniowych wystaw. A więc — w Kordegardzie: „Etiudy warszawskie” — malarstwo i grafika Józefa Młynarskiego. I jeszcze ujrzelśmy (w Domu Wojska Polskiego) „Wyzwolenie Warszawy” Mikołaja Macedońskiego; ów radziecki artysta był wtedy żołnierzem 1 Armii WP oraz „Refleksję o Warszawie” czeskiego malarza Wilema Hessa. Refleksje, wspomnienia... Ale był w styczniu i dzień bieżący, wiele atrakcji i imprez. Dwie z nich — jednorazowe! Jedna — to występ angielskiego



Scena zbiorowa ze sztuki „Merci, czyli wodewil z myszką”

Fot. Leon Myszkowski

zespołu „Procol Harum” z czołówki brytyjskiego rocka. Przy tej okazji dostało się i miłym, kulturalnym, pragnącym zawsze dogodzić klientom paniom z kas SPATiF-u, bo więcej było amatorów (kolejki nawet nocą) niż biletów. No cóż, podała mała — zapotrzebowanie ogromne; nie tylko w tym wypadku. Zasada ta w skali innej sprawdziła się, w formie znacznie gwałtowniejszej, z warszawskimi dyskotekami. Czy tylko winić młodzież, że wygniotła szyby dyskoteki w „Stolicy” (nie, nie u nas, lecz w kawiarni), w naporze chętnych zniszczyła ponoć wcześniej dyskotekę u „Maksima”, czy raczej zauważyć, że widać tych dyskotek jest zbyt mało. Toteż wylewanie dziecka z kąpielą, czyli zamknięcie dyskotek przez Dyr. Przeds. Przemysłu Gastronom. Kawiarnie wydaje nam się zbyt wygodnym rozwiązaniem. Jeszcze istnieje dyskoteka w Hali Gwardii Za Żelazną Bramą. Gwardia, Żelazna

Brama — samo brzmienie wystarczy; więc może nie zmożę lokalu ani dyskotekowcy, ani kierownicy z Gastronomii. I jeszcze na koniec odnotuję z wielką sympatią bez mała konspiracyjny, bo jednorazowy, występ w studenckim klubie: spektakl czeskiego teatru „Rokoko” z Pragi zorganizowany przez Zjednocz. Przeds. Rozrywkowe. Dowcipne, kulturalne i kapitalne w sensie techniczno-iluzjonistycznym. — Ludzie, ludzie, cuda były w tej budzie — czyli w „Stodole”. Ujrzelśmy tam „7 rozważań nad stosunkiem mężczyzny i kobiety” i dowiedzieliśmy się m. in., kiedy pocałunki są dla organizmu mordercze, a kiedy zdrowotne.

Abyśmy więc zdrowi byli! Bo jak wykazały ostatnie dane statystyczne: w Warszawie profesorów jest 1727, czyli jeden profesor przypada na 800 mieszkańców, a więc o 200 więcej niż lekarzy.

KRYSZYNA KOLIŃSKA